

Na wieży furgotal blaszany kogucik
na drugiej — zegar nucił.
Mur fal i chmur popękał
w złote okienka:
gwiazdy, lampy.

Lublin nad łąką przysiadł.
Sam był —
i cisza.

Dokoła
pagórków koła,
dymiąca czarnoziemu połać.

Mgły nad sadami czarnymi.
Znad łąki mgły.
Zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły.

(MUZYKA jako tło (kolysanka) najlepiej skrzypce)
We mgle nie słycać kroków, które zbliżają
wędrowca ku miastu rodzinnemu. Szeleżyny polne
pęcznią, nabrzmiewają w drogi, a te znów rozle-
wają się szeroko wśród falistych pól. Szosa się toczy.
Zrywający się wiatr szumi w kłosach. Północ niedale-
ko, a jeszcze ktoś wodę ze studni ciągnie. Żuraw
słycać. Jeszcze wiejsko tu. Jeszcze wiejsko. Księżyc
goni wśród chmur. Mgła rzędzie.

Wędrowcze, oto już kręte uliczki starego przed-
mieścia, Wieniawy. Dawniej, gdy winnice opinały te
wzgórza, nazywano je: Wieniawa. Idąc dziś między
cieniami ruder i zapadłych w ziemię domostw my-
ślisz, wędrowcze, o tym tylko, że miasto kochane już
cię ogarnia i tuli.

Ciemniej.
Pagóry, zagaje, podłęza
nie sypią się wiankami na oczy.
Ciemniej.
Z nieb czeluści otwartej na ścieżaj
biegną ciche niedźwiedzie nocy.

Nad ulicami, rzędem,
czarne, kosmate,
będą się tarzać po domach do chwili,
gdy księżyc wybuchnie zza chmur, jak krater,
świat ku światłu przechyli.

Blachy dachów dudnią bębniem.
w dół, w górę, nierówno się kładzie
perłowy lampas:
w prostopadłej gromadzie
przedmieścia lampy.

Przeciw niedźwiedziom to mało!
Gną się, kucają domki, zajazdy, bóżnice
pod mroku cichego łapą.
Ach! Trzasnęłyby niskie pułapy!...
...ale już zajaśniało.

Pejzaż: Wieniawa z księżycem.

(WIATR MUZYKA jako tło (kolysanka) ta sama)
Wędrowcze, masz towarzysza. Księżyc w pełni,
srebrny, daleki pójdzie odtąd za twoimi krokami. Po-
wiedzie cię do miasta umarłych, gdzie twoi bliscy leżą
pod gwiazdami i darnią. Osrebrzy ci stare kamienice
w rynku, widma ukaże w kościele na Zamku, wreszcie
znowu cię w pola wywiedzie przez ulicę Szeroką, przez
Kalinowszczyznę i Czwartek. To jest księżyc, towa-
rzysz. Niech sobie poci mówią: tarcza, gołąb srebr-
ny, korab nadziemski. Dla ciebie to jest po prostu
księżyc. Może nawet księżyc z Twardowskim, może
ze Świętym Jerzym. Bo przecież świecił taki sam
nad ulicą, gdy matka opowiadała ośmioltniemu: Świę-
ty Jerzy tam ze smokiem walczy. Bo przecież to tu
było w tym mieście, do którego wracasz, jak syn mar-
notrawny.

(WIATR ŻEGARY Z WIEŻY)

Wiatr, znowu wiatr się podrywa. Obaj, on i księ-
życ, ku cmentarzowi idą. Do ojców. A wiatr głosy
jakieś przynosi od wieżyc miasta.

Zegary, twarze nocy niewesołe,
hasło podają: północ, północ...
Dołem
plące konopne, lniane,
ulice — długie mroku czółna,
lamp łańcuchami splecione.

U krańca Lublina czworokąt czarny
szumem poemat wiatrów skanduje.
Kłony, brzeziny, kasztany, tuje
obsladły wyspę umarłych.

Aleje głucho mamrocą nocą, jak rynny.
Błask błady gwiazdy samotnej opiera się o cień,
o bluszcz, żalobny barwinek,
paprocie.

Krzyże z marmuru, anioły brązowe srogo
stanęły na piersiach trumien.

Pięcie kogut.
Napisy z oramy cmentarza w pamięci zakarbuje, zatnij:
„Oto teraz w prochu zasną — z prochem wstaną
w dzień ostatni!...”

(WIATR)

Napojony smutkiem, zamyślony i o świecie niewie-
dzący idzie wędrowiec miastem. A ono głuche.
W głównej ulicy tu i ówdzie rozmowa spóźnionych
szlachodniów, tu i ówdzie brama zamykana trzaśnię.
Kroki jego spadają na kamienny bruk, mechanicz-
ne, nieważne. A przecież idzie wśród dobrze mu zna-
nych murów. W blasku latarni wzrok zadumanego
mógłby odeztywać napisy na sklepach. W tym, na-
rożnym, kupiono mu trąbkę dziecięcą, gdy był ma-
leńki. Przy tamtym żegnał się z matką i siostrą, wy-
ruszając na front. A oto i dom, w którym przeżył
chwile najlagodniejsze. Na drugim piętrze okno jest
otwarte. Ktoś na pianinie gra.

POEMAT O MIEŚCIE LUBLINIE *

JÓZEF CZECHOWICZ

(CICHY KOBIECY SPIEW chwiłami upada głos
dziecinnej trąbki)

A teraz ciemność. To nie księżyc skrył się w obło-
kach. To ogarnął cię, wędrowcze, mrok Bramy Kra-
kowskiej. Zbudź się, zbudź, patrz dokoła! Za chwi-
lę wejdziesz na rynek.

(WIATR)

Kamienice, kamienice,
ściany ciemne, pochyłe.
Księżyc po stromym dachu toczy się, jest nisko.
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę —
jak perła
upadnie w rynku miskę —
miska zabrzęknie.

W płowej nocy,
po kątach nisz głębokich
po bram futrynach i okien
załamany,
bez mocy,
cień fiolkowy uklęknie.

Gwiazdy żółte, które lipcowy żar ściał,
leca — kurzawą — leca,
firmament w złote smugi marszcza,
za Trybunałem
na ślepych szybach świecą
cichym wystrzałem.

Noc letnia czeka cierpliwie,
czy księżyc spłynie, zabrzęknie,
czy zejdzie ulicą Grodzką w dół.
On się srebrliwie rozplywa
w rosie porannej, w zapachu ziół.

Jak pięknie!

(WIATR)

No, do ranka jeszcze daleko, choć w lipcu świty są
tak wczesne. Możesz jeszcze długo tu stać i chłonać
nocne uroki.

(DALEKI CHÓR JAKO TŁO)

Rynek. Tu dom Acerna, tu kamienica Sobieskich.
A ot i narożnik ze lwami z kamienia. Tu chodziliś
do szkoły. Pamiętaj, bo jakżeby nie pamiętać! Toż
to tu właśnie, a nie gdzie indziej przeżyłeś pierwszą
chwilę poezji, wieczorem, słuchając starego miasta.
Zamięń wspomnienie w wiersz. Same pojęcia:
wspomnienie i poezja są sobie bardzo bliskie.
Oto wiersz:

Niebo odmienia się, choć wieczór nie ścichł.
Wiatr jeszcze szepce, nim uśnie.
Niebo fioletem szeleści.
Wiatr — już nie wiatr — uśmiech.

Z ulicy Dominikańskiej śpiew chóru,
Dziewczęta chwałą Marię.
Z Archidiałowskiej do wiotru
samotnych skrzypiec arie.

Domów muzyczne milczenie
złączone z tęczy łukiem
na czoło kościoła promieniem
opada, jak pukiel.

A teraz ktoś ciszę napiął,
bije w nią pięścią ze spłizu.
Dzwon wieczorny
mocą metalu kapiąc
zaczyna grać pod kościelnym krzyżem:

raz — i dwa — i trzy — — —

(WIATR)

Wędrowcze, nie tylko księżyc i domy, wiatr i ko-
ściół, gwiazdy i doły ulic. Idziesz, idziesz, jeszcze
jedną mijasz bramę, pnieś się w górę zaułkami pod-
zameza, stajesz przed niskim łukiem. Łuk jest w kra-
tach a nad nim błyszczą luktorskie różgi i topory.
Minałeś kraty, dziedzińce zamkowe, przeszedłeś
u stóp baszty księcia Daniela.

MUZYKA jako tło (organy)

Jesteś w zamkowej kaplicy. Klękaj. Skarbiec to
i serce Lublina, miasta Jagiellońskiego.

W kościoła oknie na płask
biyszał wodą stojącą księżycy blask.

W ciemnym wnętrzu jest smuga białawego szklawa.
Nie wiadomo, jak taka barwa się nazywa.
Chodzi, chodzi w ciemnościach
ruchomy światła korytarz,
jakby noc palcem srebrnym wodziła niebieska
po gotyckich łuków smukłości,
po freskach.

Dziecko tak palcem wodzi po książce, gdy czyta...

Tu skały malowane są tronem Dziewicy,
gdzie indziej zaś podwójny Chrystus ciemności
w dwa kielichy odmierza wino.

Święci z pustelni, Mario surowa,
kwiaty kapiące z wnęk, odrzwi, nisz,
archanioł, pancernym jasny — o czym w promieniu
śniesz?

Jakie apokalipsy śnią się smokom, orłom?

Zadna trąba nie woła.

Księżyc palce swe cofa w mroku kościoła.

Za szybą migocze Orion.

Były czasy i dziwy. Minęły, zrobiło się codziennie,
powszednio. Tylko ten księżyc...

(daleki chór jako tło)

Chyba czas już na ciebie. Trzeba zejść ulicą Zam-
kową w mrok zaułków, potem wynurzyć się z ciem-
ności na ulicy Szerokiej, która naprawdę jest szeroka.
A stąd, przez uśpione przedmieście, nogi same ponie-
są cię, nocny wędrowcze, w daleki świat. Porzucisz
mury dobrze ci znane z czasów, gdyś biegł tu za
drewnianym kółeczkiem, z czasów, gdy zachwycony-
mi oczyma patrzyłeś na tłumne procesje Bożego Cia-
ła, gdy każda noc wigilijna była bardziej srebrna niż
w bajkach.

A teraz?

(dalekie dzwony)

Ludzi tamtych już nie ma, ni czasu tamtego. Ale,
wędrowcze, cień towarzyszy ci jak zawsze i noc jest
ulana ze srebra poświaty. Opuszcza to miasto z pogo-
dą w sercu, tak, jak je witałeś.

Chorągiewka na dachu śpiewa,
bładej gwiazdy wypelza pajak.
Latarnie w czarnych drzewach
kołyszących się, mrugają.

Ciepła woń płynie z piekarni,
a cisza z zamkniętych bram.
Gdyby pies na dalekim przedmieściu nie szczekał,
byłbyś — jak nigdy — sam.

Sam, może jeszcze z rzeczułką,
której nie słycać,
choć w taką jasną noc z lazuru
i ona — niebios kochanka —
od zmierzchu aż do ranka
na pewno wzdycha
wśród murów...

(MUZYKA jako tło (kolysanka) ta sama ucichająca)

Dobranoc, miasto stare, dobranoc. Drogi białe wy-
chodzą stąd na północ, zwężają się w ścieżyny, ście-
żyny rozlewają się w drobne strużki steczek. Wędro-
wiec jest już tylko ciemnym punkcikiem na jednej
z nich. Zniknął za wzgórzem.

Dobranoc, miasto,
dobranoc...

1934 r.

* Rzecz ta była pomyślana przez Czechowicza
jako słuchowisko radiowe. Uważamy, że Radio
Lubelskie uczciłoby pięknie 20-lecie śmierci
poety, włączając ten montaż do swojego pro-
gramu.

JÓZEF CZECHOWICZ

Modlitwa żalobna

że pod kwiatami nie ma dna
to wiemy wiemy
gdy spłynie zórz ogniowa kra
wszysej usniemy
będzie się toczył wielki grom
z niebiańskich lewad
na młodość pól na cichy dom
w mosiężnych gniewach
świat nieistnienia skryje nas
wodnistą ebustą
zamilknie czas potłucze czas
owale luster

póki się sączy trwania mus
przez godzin upływ
niech się nie stanie by ból rósł
wiążąc nas w supły
cheemy śpiewania gwiazd i raf
lasów pachnących bukietem
świergotu rybitw tnących staw
i dzwonoń co jak bukiet
cheemy światłości muzyk twych
dźwięków topleni
jeś da nam taki płę da nam rytym
i da się uweselić

którego wzywam tak rzadko Panie bolesny
skryty w firmamentu konebach
nim przyjdzie noc ostatnia
od żywota pustego bez muzyki bez pieśni
ehroń nas